

Portret krakowski

O szóstej próbowała wgrzyźć się w sens poezji perskiej. Ze słabym ponoć skutkiem, ale jest chyba w niezłym humorze. Może dlatego, że dzień wcześniej odebrała nowy samochód. Zaraz po ósmej rano zjeżdża ze swej skąty, jak lubi mówić o podkrakowskim wapiennym wzgórzach, na którym stoi jej dom. Punktualnie o 8.30 podjeżdża corsą na osiedle Widok. Anna Dymna zaczyna dzień 2 kwietnia 2008 r. Ma być zwykły, łatwy nawet, bo bez obowiązków zawodowych. Zobaczymy...

Fundacja

I już jesteśmy za drzwiami z napisem Fundacja Anny Dymnej „Mimo Wszystko”. Nowocześnie urządzone, choć ciasne biuro. Na ścianie holu galeria 29 fotografii. To niepełnosprawni intelektualnie podopieczni fundacji. Pracownicy witają szefowa.

– Jak to czytać? – mówi do siebie kładąc na stole tomik poezji perskiej. Wyciąga też pęczek kolorowych otózków z maskotkami na końcach.

– Tyle tu jest smutnych rzeczy, że trzeba trochę radości – mówi obdarowując nimi pracownice fundacji. Wyciąga kolejne tomiki. Tym razem opowiadania Herberta. Musi je przycgotać dla swoich studentów – pierwszego roku krakowskiej PWST.

– Dostajemy codziennie kilka próśb o pomoc. Rocznie zbiera się ich z siedemset. Wszystkim pomóc nie możemy, ale utworzyliśmy już sto dwadzieścia subkont i zbieramy pieniądze dla ratowania konkretnych osób, takich, które są w tragicznej sytuacji i znikąd pomocy nie dostaną. Fundujemy stypendia, płacimy za operacje, kupujemy protezy czy leki – wylicza Majka Jaworska, dyrektor fundacji. – Przede wszystkim zajmujemy się osobami niepełnosprawnymi intelektualnie, bo dla nich Ania założyła fundację. Budujemy dla nich w Radwanowicach „Dolinę Słońca”, czyli ośrodek rehabilitacyjno-terapeutyczny. Pracujemy nad stworzeniem w nadmorskich lasach w Lubiatowie miejsca, w którym osoby na stałe pokierosowane przez los będą się na nowo uczyły radości życia. Organizujemy też dwa ogólnopolskie festiwale dla osób niepełnosprawnych „Albertiana” i Festiwal Zaczarowanej Piosenki.

Anna Dymna popija kawę z fundacyjnego kubka i wertuje tomiki Herberta. Wypytuje o bieżące sprawy. Wita się z biegłą księgową, która raz do roku prześwietla papiery fundacji. Aktorka pokazuje też najnowsze kreśkówki, jakimi fundacja w tym roku zwróci się do widzów z hasłem „Twój 1 proc. ma siłę milionów”.

Już musimy wychodzić. Od teraz ja będę kierować Anną Dymnej. Jest

umówiona na dziesiątą z dziewczyną, która ma wystąpić w jej programie „Spotkajmy się” w TVP 2. Ruszamy na drugi koniec Krakowa, do Nowej Huty.

– Muszę udowodnić wszystkim, że niepełnosprawni to są zwyczajni ludzie, którzy chcą być potrzebni i mogą pracować. Ja się na prawie pracy nie znam, jestem tylko aktorką. Ale rozumiem Janusza Świtaję. Ja na jego miejscu też czułabym się jak nikomu niepotrzebny worek flaków. Dlaczego nikomu nie przyszło do głowy, że on coś chce robić, że w tym dużym, sparaliżowanym ciele miota się wspaniały, wrażliwy, pełen pomysłów i energii człowiek – tłumaczy w samochodzie i opowiada historię swej znajomości z człowiekiem, który wstrząsnął Polską, kiedy zażądał prawa do eutanazji.

– Miałam wtedy próbę „Orestei” w Starym Teatrze. W przerwie dozwonił się do mnie dziennikarz z pytaniem – jak myślę, czy człowiek ma prawo do eutanazji, bo jakiś sparaliżowany facet o to prosi. – A spytał go pan, dlaczego się tego domaga? On przecież krzyczy o życie, nie o śmierć! Może trzeba

Gdyby mieli

prawa do godniejszego życia

nie myśleliby

o śmierci

mu pomóc, a nie pytać o prawo? – naprawdę się zeżłościłam. Wczorajem w telewizji zobaczyłam tego od eutanazji. Rany boskie, przecież to mój Janusz Ssak. Tak miałam Świtaję zapisanego w komórce, bo dwa lata temu kupiliśmy mu ssak do odflegmiania płuc. Dzwonię. Czys ty zwarłował, mówię do niego. Ty mi przecież dajesz od 2 lat siłę w chwilach słabości, załamania. Zawsze myślę wtedy o tobie, jak walczysz o każdy oddech i jeszcze jesteś dowcipny i radosny, i robi mi się wstyd i biorę się w garść. A ty krzyczysz o śmierć? Chyba ci się nudzi! Zatrudniam cię w mojej fundacji, bo jesteś potrzebny, a potem pogadamy o eutanazji – strasznie na niego wrzeszczałam.

– Nie rozumiem, dlaczego państwo takimi ludźmi się nie zajmuje? Gdyby mieli jakieś prawa do godniejszego życia, nie myśleliby o śmierci. Teraz Janusz pracuje, „chodzi” do szkoły, pisze książkę, a wkrótce odzyska namiastkę wolności... Nasza fundacja wraz z Januszem zebrała pieniądze na wymarzony wózek,

taki jeżdżący szpitalik za 240 tysięcy. Według ustawy powinien zapłacić państwu za ten dar 48 tysięcy podatku od darowizny, ale staramy się o zwolnienie, bo przecież to fundacja musiałaby zapłacić. Janusz nie ma pieniędzy. Nie rozumiem takiej ustawy i tej swoistej kary, jestem tylko aktorką... – przerywa, bo musi zadzwonić. Do lekarza do Warszawy, żeby pomógł jej nawiązać kontakt z chorymi, którzy cierpią na narkolepsję, czyli nagle zasypiają.

Nowa Huta

Osiedle Złotego Wieku. – Zatrzymajmy się przy kiosku, muszę coś kupić, tam, gdzie jedziemy, jest dwoje małych dzieci. Wracę po kilku minutach z trzema zabawkami. – Mam misia dla maleń, autko dla malego, a ten niebieski pluszak dla mnie na szczęście, bo pan z kiosku się ucieszył, że u niego kupuję. Widzi pan, jak ja mam dobrze? – uśmiechnięta sprawdza, czy działą synera w policyjnym autku dla chłopca.

W drzwiach dwupokojowego mieszkania wita nas cała rodzina. Krzysztof z 11-miesięczną Klaudią na rękach. Dwuletni Adrian od razu zajmuje się radiowozem. Najważniejsza jest jednak matka dzieci, też Anna. – Ty masz 26 lat. To 31 mniej niż ja, Niemowlina, że ja tak długo żyję – mówi Dymna.

– Jak tylko widzę ciastka to od razu tyję – dodaje, siadając przy zastawionym stółczykami stoie. Widać, jak trema mija gospodarzom.

Anna Dymna kładzie na stole zeszyt A4, by spisać historię swojej imlenniczki. Śliczna brunetka, kiedy miała 20 lat, pojechała za swoją ówczesną miłością do Chicago. Tam pracowała, ale zaczęła czuć się źle, puchła, nie miała na nic siły, przesyłała całe dni. Okazało się, że to ciężka niewydolność nerek.

– Powiedz mi jak głupiemu na czym polega hemodializa – prosi aktorka.

Dziewczyna opowiada, jak wróciła do Polski, jak dowiedziała się, że nie będzie mogła mieć dzieci. Jak została wzięta za narzeczoną, a ona nie chciała się zgodzić, by ojciec oddał jej swoją nerkę. Jak poznała Krzysztofa i wzięli ślub. Jak miała przeszczep i trzy tygodnie czekała aż nowa nerka ruszy. – Nie mogłaś się wysłuszać. Niemożliwe... Ja tak lubię sikać – śmieje się Anna Dymna, by za chwilę z uwagą wysłuchać opowieści, jak dziewczyna zdecydowała się na ciężką, przetrwała ją, a potem zaryzykowała nie usuwać drugiej.

– Przyjeżdżcie wszyscy na nagranie do Warszawy – namawia aktorka gospodarzy. – Teraz jest źle z przeszczepami. Jakbyście przyjechali, to moglibyśmy pokazać, że ktoś, kto oddał nerkę, uratował Aniu twoje życie i dał życie twoim dzieciom.

– Ten program jest dla mnie bardzo ważny – tłumaczy już w aucie.



Ja tylko aktorką jes

Muszę udowodnić wszystkim, że niepełnosprawni to są zwyczajni ludzie, którzy chcą być potrzebni i mogą pracować – twierdzi Anna Dymna. Jeden jej zwykły dzień obserwował nasz reporter **Marek Bartosik**



U góry: swój zwykły dzień Anna Dymna rozpoczyna od spotkania w fundacji

Poniżej: serduszek – prezent dla Justyny

Po lewej: strój na występ zapakowany, można jechać na Śląsk

tem!

Obiad

Spieszymy się, bo Anną Dymną musi jeszcze spaść do domu, a na czternastą umówiona jest w fundacji z ekipą telewizyjną. Ma przed kamerą zachęcać, by ludzie, wypełniając PIT-y wskazywali organizacje, na które chcą przeznaczyć jeden procent swojego podatku. Zależy jej na tym wywiadzie. W zeszłym roku jej fundacja zebrała z tego źródła najwięcej pieniędzy w kraju.

– Marzec i kwiecień to dla nas najgorętszy okres – mówi Anna Dymna. – Ale my do tego dokładnie się przygotowujemy. Wiemy, kto nam wpłaca pieniądze, z jakich części kraju dostajemy najwięcej. Wiemy, kiedy uderzyć do gazet brukowych, kiedy i do jakich lokalnych, kiedy wystartować ze spotami w telewizji i w internecie. Ale co roku dostajemy jakiegoś strażaka od państwa. Teraz ulgi rodzinne odbiorą nam większość jednoprocenowych darczyńców.

Podjeżdżamy przed dom Anny Dymnej. Dzwoni telefon. – Oni mnie wykończą... Ale to Salon Poezji. W niedzielę Piotr Adamczyk czyta 7 księgę "Pana Tadeusza" – cieszy się aktorka. – Proszę iść tymi schodami w górę – zaprasza do domu Anna Dymna. – Czestaw Miłosz mi powiedział, że jakby wiedział, że są takie strone, toby do mnie nie przyszedł.

Cisza. Słychać tylko samoloty grzące silnikami na pobliskim lotnisku w Balicach, gdzieś blisko głosu bażanta. Wokół zadbane ogródki, w nim stół z koszem wiosennych kwiatów. Jeszcze odgłos otwieranych okien.

Salon domu aktorki i jej męża Krzysztofa Orzechowskiego, dyrektora Teatru im. Juliusza Słowackiego, stoi otworem. Dorosły syn aktorki od kilku lat mieszka sam. Jest studentem filmoznawstwa i pasjonatem improwizacji muzycznej.

– Najpierw zrobimy obładek. Spagietti może być?

Do elektrycznego woka wrzucamy na oliwę cebulę i czosnek. Potem przyprawy i pomidory z puszki. – Do tego garnka włoży pan pół paczki makaronu. Ja muszę uprasować sukienkę i poszukać butów – aktorka znikła w dalszej części domu. W salonie stoi pianino, pod lustrem ze złotymi ramami na półce duże słoje z pigwówką, gruszkówką i imbirowką, które nabierają mocy, na półce pod sufitem szlachetne staro-rodzie z żelazkiem na duszę i szkieletem rewolweru włącznie.

– Gdzie są te buty? – rzuca aktorka wracając na chwilę, by sprawić, jak tam sos i makaron. Kiedy siadamy przy dużym dębowym stole, buty już się znalazły. Krótka rozmowa o perypetiach przy budowie domu, rozrabiających w ogrodzie sójkach i jeżu. Teraz czas na makijaż, bo przed aktorką występuje na scenie. Między jednym a drugim okiem jeszcze telefon w sprawie narkolepsji i krótka chwila pożegnania z kotami.

W fundacji „telewizory” już czekają. Kilka słów narady ze współpracownikami, co powinna powiedzieć przed kamerą.

– Pamiętaj, że linowcy też mogą wpłacać – mówi Majka Jaworska.

– Jacy linowcy, mów do mnie po ludzku, ja tylko aktorką jestem – słyszy od Dymnej.

Nagranie trwa kilka minut. – Ciekawe tylko, co z tego puszcza – mówi aktorka.

O trzeciej wyjeżdżamy do Tarnowskich Gór. – Będę tam czytała wiersze Justyny Kędzi – tłumaczy i zabiera się do pisania dla niej życzeń, dla dziewczyny, która może poruszać tylko jedną ręką i głową, a oddycha przez respirator, bo od 10 lat jest chora na glikiogenezę.

Ruszamy na Śląsk

Moja pasażerka rozkłada na kolanach kartki z wierszami Justyny. Fundacja załatwiła dziewczynie bezpłatne internetowe studia na prywatnej uczelni. Już ma za sobą licencjat, zaczyna studia magisterskie. Teraz udało się jej wydać drugi tomik liryków.

Na autostradzie aktorka jeszcze raz czyta wiersze na głos, powtarza kilka razy te trudniejsze.

– Cholera, zostawiłam w domu – mówi nagle. Chodzi o „Tryptyk rzymski” Jana Pawła II. – Chciałam na koniec przeczytać coś z „Tryptyku” – tłumaczy.

I dzwoni. Najpierw do Justyny. Ale ta nie ma książki. – No to dzwonimy do Stasia... – Mógłbyś pójść do księgarni, bo ja już nie zdążę. Strasznie korki na tym Śląsku – słyszę z siedzenia pasażera.

– Stasiu to mój przyjaciel, alkoholik z 20 latami abstynencji. Był rozmówcą w moim programie. Przygotowaliśmy się kilka tygodni. Nagle mówi, że nie da rady. Jakis załamany. Mówię, nie przejmuj się, a w środku szlag mnie trafia, że tyle roboty na nic. Nie nalegam, boję się, by nie zaczął przez to wszystko pić. Okazało się, że w czasie naszych rozmów zrozumiał, że przepił nie tylko kawał życia, ale skrzywdził też córkę. Ale rozmowa była wspaniała, a Stasiu jest moim przyjacielem.

Kilka minut po 18. Licealiści przebrani w garnitury otwierają przed aktorką drzwi domu kultury. W małym przytulnym garderobie czas na zmianę stroju. Anna Dymna prosi tylko o kawę. W tym czasie Justyna Kędzi wyjeżdża na wózek z samochodu na chodnik. Do holu wnosi ją kilku mężczyzn, bo na sztych schodach nie ma pochylni. Wszystko gotowe, widownia pełna, ale kurtyna dalej opuszczona. – Władze się spóźniają – wyjaśnia jeden z organizatorów. – Władze... Trudno, zaczynamy – mruczy Anna Dymna.

Na scenie siada przy stoliku z matką Justyny. Bohaterka wieczoru w czerwonej sukni i z różą we włosach lewą dłoń cały czas trzyma na joysticku sterującym wózkiem. Aktorka czyta wiersze. Po niektórych zrywają się oklaski kilkusetosobowej widowni. Justyna Kędzi leciutko się uśmiecha. Po kilku wierszach przerwa na popisy muzyczne młodzieży. Wreszcie Dymna czyta Litanię:

*Wśród pełni księżyca
modlitwy krzyk:
Aniele Życia
przy mnie stój!
Skostniałe ręce
ku Niebu zwrócone:
Aniele Życia
przy mnie stój!
Nagle stopy krwią sączące:
Aniele Życia
przy mnie stój!
W źrenicach
niepewnej wiary sól
lecz mimo to
Aniele Życia
przy mnie stój!
Okłaski. Anna Dymna kryje twarz za rozpuszczonymi włosami. Muska*

Jakaś Dymną

mam się zajmować?

A co mnie to obchodzi

palcem kąć oka. – Ty pisz, a ja będę przyjeżdżała czytać – prosi Justynę. Jeszcze fragment „Tryptyku”, bo Stasiu nie zawiódł, i „Barka”.

Zanim Anna Dymna wróciła do garderoby, przed drzwiami ustawiło się kilkadziesiąt osób po autografy. Aktorka pojeździe do zdjęć. Koniec. Jest godz. 21.

W garderobie zostaje 23-letnia Monika. Znowu pojawia się zesztywniały A4, bo dziewczyna ma być gościem w „Spotkajmy się”. Monika woli stać. Jej matka opowiada ich historię, która nazywa się fibrodysplazja. Pierwsze objawy pojawiły się 10 lat temu. Monika jest jedną z kilkunastu osób w kraju, którym stopniowo kostnieją mięśnie i tkanka łączna stawów. Anna Dymna dotyka zwapniałych mięśni. Dziewczyna nie może uśiąść, bo ma unieruchomione biodra, kolana, barki. Jest jak marmurowy pomnik z dziecięcą twarzą. Lekarstwa nie ma, choroba postępuje, ostatnio zajmuje już żuchwy. Aktorka próbuje Monikę pocieszyć, mówiąc że pewnie wymyślą jakieś lekarstwo. Trzeba wierzyć.

– Chciałabym mieć chłopaka? – pyta Anna Dymna Monikę.

– No pewnie, ale trzeba go znaleźć – mówi cicho dziewczyna.

– Jak przyjedziecie na nagranie, porozmawiamy o tym, jak bytaś odrzucana, jak szukasz pracy, jak potrzebujesz życzliwości. Niech wiedzą. Przemysli to – kończy aktorka.

Jeszcze szybka kolacja i wracamy do Krakowa pustymi śląskimi drogami. Anna Dymna dzwoni do męża. Potem w szumie ulewy odpowiada na pytania z rzadka tylko ziewając.

– Pięć lat temu nie wiedziałam, że mogę komuś pomóc. Raz jestem silna, raz słaba. Na pewno nie spodziewałam się, że potrzeba tyle wytrzymania. Chociaż czasem po nagraniach do „Spotkajmy się” siedzę w hotelu sama i wyję parę godzin. No i przechodzę najbardziej przyspieszony kurs życia. Daję fundacji swoją twarz, sama odpowiadam za ludzi i pieniądze. Nic nie muszę, a tak wiele mogę zrobić. Widzi pan, dziś w tym moim wolnym od pracy dniu też się komuś przydałam. Nigdy ludzi nie oszukuję. Nie mówię, że mogę pomóc, jak nie mogę. Gram oczywiście mniej niż dawniej, ale wystarczy poczytać Szekspira albo Mrożka, by zobaczyć, ile jest ról dla kobiet w moim wieku.

Nie będę z nudów pila wiodu, narzekala albo grała w byle czym, by tylko grać. Wolę przeżywać te uczucia, o których czytałam w najpiękniejszych wierszach. Jakaś Dymną mam się zajmować? A co mnie to obchodzi? My niepotrzebnie komplikujemy życie. Ono jest proste, krótkie i bardzo piękne. A najpiękniejsze, gdy ktoś nas potrzebuje i umiemy być potrzebni. Parę osób już trzymałam za ręce, gdy umierały. I wiem, że człowiek bardzo potrzebuje drugiego człowieka.

Pół godziny do północy. Znowu jesteśmy przed domem na skale.

Kończy się zwykły dzień Anny Dymnej, aktorki. ●

m.bartosik@gk.pl